

Jerzv Spitzmuller i Armand Le Gay.

## FABRYKANT MUMII.

13)

Tłum. z francuskiego.

— W jaki sposób?

— Przewierciłem w ścianie dziurkę, przez którą, stojąc na komodzie, zaglądam do jego pokoju. Ściana jest drewniana, więc łatwo mi to było zrobić.

— No i cóż?

— Chciałem się dowiedzieć, co ten człowiek robi po całych dniach. Stróżka, wielka gaduła, mówiła mi, że słyszała dochodzący z jego mieszkania jakiś dziwny szmer, którego ja nie zauważyłem. To mnie mocno zaintrygowało. Ale zawiedłem się grubo. Główne zajęcie tego draba — jak teraz przynajmniej — nie przedstawia dla nas nic interesującego.

— Cóż on robi?

— Poprostu pije od rana do wieczora — koniak, rum, absynt, jak się zdarzy.

— A! — rzekł p. Ducroc rozczarowany.

— Proszę zaczekać, panie szefie! Rozumie pan, że nie zatrzymałem się na tej obserwacji i poszedłem dalej.

— Poznaję w tem pana! — zawołał szef.

— Otóż pewnego dnia, kiedy pan Harschfeld wyszedł, zrobiłem odcisk zamku i obstałowałem klucz.

— Tak... tak...

— Mając klucz, skorzystałem z nieobecności sąsiada — wszedłem do jego mieszkania i zrewidowałem je bez ceremonii. I podczas rewizji znalazłem w teczce... ach panie szefie, dam panu tysiąc, dam panu dziesięć tysięcy, jeżeli pan zgadnie, co znalazłem?

— Cóż takiego? Co?

— Tekst i tłumaczenie naszej sławnej depeszy cyfrowanej!

— Depeszę cyfrowaną! — wybełkotał p. Ducroc, czerwieniąc się i blednąc naprzemian.

— Tak jest. Zresztą miałem też zaraz wyjaśnienie tego w aparacie Morse'go, stojącym w kącie pokoju wraz ze specjalnym aparatem do telegrafu bez drutu. Tem się tłumaczył ów dziwny szmer, słyszany przez odźwierną. Pan Harschfeld przejmował depesze rozsyłane z wieży Eifel i w taki sposób doszedł do posiadania naszej.

— Ale w takim razie doktor Vanesco?...

— Cierpliwości! Dojdziemy i do niego. Zrobiłem też inne odkrycie, daleko ważniejsze, gdyż jest ono jeszcze jednym ogniwem w łańcuchu dowodów, które zbieram z takim wysiłkiem i które panu zaraz wyłożę.

— Słucham.

— W tej samej teczce znalazłem list, pisany zmienionym charakterem, ale niemniej pisany przez doktora Aleksandra Vanesco. Jestem tego pewny. Porównałem go z pismem doktora, a ja się na tem trochę znam, jak pan wie. Otóż list ten — o treści pozornie nic nie znaczącej, gdyż pisany jest w języku umówionym — list ten dowodzi niezbicie, że Harschfeld jest w bliskich stosunkach z doktorem i musi być jego współnikiem, czemś w rodzaju „prawej ręki“.

— Niesłychane! — mruknął szef bezpieczeństwa.

— Zresztą podejrzewałem to oddawna. Odźwierna mówiła mi, że u Harschfelda bywa dosyć często jakiś osobnik, który wygląda na brata. Ten sam wysoki wzrost, takie same włosy i broda rude, akcent niemiecki, nawet podobne ubranie. Czy ten człowiek jest doktorem Vanesco? To musimy stwierdzić — i ja stwierdzę to, jak mi się zdaje — niedługo.

— Jakżeż pan się o tem przekona?

— Tak, że się tego nie domyśli, rzecz prosta. Mam pewien sposób. Inaczej byłoby zbyt niebezpiecznie. Trochę dbam o swoją głowę, a ten człowiek ma tak potężne środki, że zgniecie mnie jak muchę, zanim zdolałam krzyknąć.

— Jednakże, możeby przedsięwziąć środki ostrożności. Pięciu lub sześciu agentów...

— Nie... nie... tego nie trzeba... Przeciwnie, to mogłoby nawet zaszkodzić, gdyby przewąchano za sadzkę.

— Więc co pan zrobi?

— Powiedziałem panu: dowiem się, kim jest człowiek, odwiedzający Harschfelda. Jeżeli to nie jest doktor Vanesco, będę go starannie śledził. Jeżeli zaś ów „brat“ jest doktorem, jak to przypuszczamy — pozostawię go na razie w spokoju, dopóki nie będę miał wyraźnych dowodów winy, które, mam nadzieję, zdobędę niezadługo. Tymczasem, jakkolwiek

jesteśmy najgłębiej przekonani o winie — dowodów żadnych nie mamy, — same tylko podejrzenia.

— To prawda, ale te podejrzenia są ciężkie; i — wie pan — im więcej myślę o wyobrażeniu Fabrykanta mumii, jakie mi pan dał kiedyś, tem bardziej przekonuję się, iż odpowiada ono w zupełności doktorowi Vanesco.

— Nieprawdaż?

— Jest namiętnym graczem; wiem, iż pewnego wieczoru przegrał w Klubie międzynarodowym sto tysięcy franków... I wie pan — to było akurat w wigilię zniknięcia księcia Burg-Hausen. Kobieta — rzekł również — wiadomo wszystkim, że wydaje olbrzymie sumy na utrzymanie tej Liany de Valoys, której rozrzutność jest przysłowiową.

— Chciałem właśnie o tem mówić. Czy pan zauważył, że w kilka dni po zniknięciu Bridgetona poczęła na nowo szaleć i paradować po całym Paryżu we wspaniałym automobiliu, opowiadając wszystkim, że dostała go w prezencie od doktora. Czy to prosty zbieg okoliczności? O innym mówionoby, że go rujnuje. Ale doktor nie wygląda na to. Czy nie zastanawiał się pan nigdy nad tem, w jaki sposób wystarcza mu na to wszystko i skąd bierze pieniądze?

— Myślałem o tem nieraz, słysząc o jego wydatkach, których przecież nie może pokryć pensja dyrektora lecznicy Colleta ani praktyka lekarska. Zbierałem też informacje.

— Mówiąc to p. Ducroc wstał i wziął z półki rejestrator z literą V. otworzył go i podsunął Sebastyanowi.

— Proszę. Tu się znajduje wytłumaczenie, skąd Vanesco bierze pieniądze. Zdaje mi się, że posiada on w górach Uralskich bogatą kopalnię platyny, którą odziedziczył po swym dziadku, pierwszym ministrze sławnego Conza, hospodara Wołoszczyzny i Mołdawii.

— To trzeba by sprawdzić.

— Mogę panu zaraz dać wyjaśnienie. Dostarczył mi ich pewien stary Rumun, coś w rodzaju uczonego. Pomagał on niegdyś naszemu doktorowi w naukach i teraz dostaje od niego skromną pensję. Wierzyłem temu staremu, zwłaszcza, że był bardzo źle usposobiony dla swego dawnego ucznia i uważał go za niewdzięcznika.

— Bardzo dobrze, postaramy się później stwierdzić istnienie tej kopalni. Tymczasem muszę panu opowiedzieć o podejrzeniach jeszcze cięższych, które wyglądają prawie jak dowód winy.

I Sebastyan opowiedział panu Ducroc szczegółowo o swych rozmowach z odźwiernym lecznicy, Leymanem, roznosicielem mleka i zapalaczem gazu.

— Widzi pan, panie szefie — rzekł wreszcie — iż miałem słusność, twierdząc, że ten dom zawiera tajemnicę sprawek Fabrykanta mumii. Od początku jakaś intuicja mówiła mi, że sąsiedztwo z lecznicą Colleta nie jest przypadkowym. Z tego domu wywieziono posąg Gladiatora i beczkę Chamberni'a. A potem te tajemnicze wizyty nocne doktora w laboratorium... te hałasy w niezamieszkałym domu, przy drzwiach i oknach zamkniętych.

— Więc pan stale jest zdania, że istnieje tajemne przejście?

— Tak — jestem prawie pewny tego. Łączy ono dom, w którym teraz mieszkam z lecznicą — to jasne. — To przejście istnieje — inaczej nie można by sobie wytłumaczyć tych dziwnych rzeczy, jakie się tam dzieją jeszcze teraz.

— Jeszcze teraz? — zapytał p. Ducroc, otwierając szeroko oczy.

— Tak. Nie mówiłem panu o tem. Proszę niech pan posłucha, co mi się przydarzyło.

Sebastyan zdał sprawę ze strasznej nocy, jaką przeżył, zamknięty w piwnicy.

— Ach! biedny przyjacielu! — rzekł pan Ducroc ze drżeniem — rozpoczął pan niebezpieczną grę. Lada chwila może pan to przypłacić głową. Niech pan pomyśli o tym biednym Staubie. Może dać panu jaką pomoc?

— Dziękuję... Mam psa. To najlepszy stróż. A zresztą, widzi pan, że Fabrykant mumii nie chce mojej śmierci, skoro mnie wypuścił...

— Tym razem, tak... Ach! poznaję go po tych sposobach okazania policyi, że drwi z niej i że jest spokojny, że go nie wykryją. Ale gdy tylko zauważy, że zaszedł pan za daleko i że zagraża mu pan...

— Niech pan będzie spokojny, panie szefie, jestem przygotowany i mam się na baczności.

— Jak pan chce... I mówi pan, że drzwi od piwnicy były zamknięte na klucz? W takim razie, jak mógł tam wejść.

— I w jaki sposób wyszedł? Nie mam pojęcia. To tajemnica, która przechodzi mą wyobraźnię. Ale

im więcej o tem myślę, tem głębiej jestem przekonany, że przejście istnieje i w chwili, gdy je odnajdę, otwarcie oskarżę doktora Vanesco.

## ROZDZIAŁ XV.

## Tragiczna pogoń.

Pewnego popołudnia Sebastyan Blanc przybył nieco później na ulicę Lowendal do domu, w którym wynajął pokój, żeby śledzić sposób życia p. Harschfelda. Wierny swym zasadom ciągłego przebiegania się, wstąpił po drodze do jednego ze swych przyjaciół, by pozostawić tam skórę pana Gombert.

Wyszedł stamtąd jako młody wieśniak z prowincji Auvergne, w szerokim luźnym ubraniu, z twardą brodą okalającą wygoloną twarz i z kolczykiem w uchu. Trzecia biła na wieży szkoły wojskowej, gdy młody wieśniak witał się z odźwierną domu N. 18.

— A! dzień dobry, panie Sylwestrze... — odparła gadatliwa kobieta. Dziś pan dobrze trafił...

I zniżając głos, dodała tajemniczo:

— Jest na górze. Już z pół godziny upłynęło, jak przyszedł.

Te słowa wywołały niezwykley skutek. Nie słuchając dalej — „p. Sylwester“ wbiegł na schody i pędził, przeskakując po kilka stopni. Spieszył się tak bardzo, iż o mało nie przewrócił jakiegoś człowieka, który powoli schodził i ledwie zdążył usunąć się na bok, żeby dać przejście Sebastyanowi. Na schodach było bardzo ciemno, ale zdawało się, że obaj — jeśli nie widzieli nawet nawzajem twarzy — poznali się, gdyż obaj nie mogli powstrzymać się od drgnięcia. Jednakże, rzuciwszy szybko słowo „przepraszam“, obaj podążyli każdy w swoją stronę.

Sebastyan zaklął po cichu w straszliwy sposób — nie mógł sobie darować swego opóźnienia. Chciał w pierwszej chwili zawrócić, ale rozmyślił się i szedł dalej. Zrozumiał odrazu, że poznano go pod tem przebraniem i że nie będzie mógł już w tym domu prowadzić badań.

Gdyby obejrzał się za siebie i mógł coś dojrzeć w ciemnościach klatki schodowej — mógłby zobaczyć, że nieznamy, z którym się spotkał, bardziej odważny od niego, — zatrzymał się, poczem zaczął iść w górę po schodach bez najmniejszego szelestu.

Sebastyan — nie podejrzewając za sobą szpiega, wszedł na szóste piętro.

Tu zdziwił się niezmiernie. Stanawszy na platformie usłyszał bolesne jęki i okrzyki. Jakiś głos, przerywany cierpieniem wołał:

— Na pomoc... na pomoc... umieram... jestem otruty... Głos ten wychodził z mieszkania Harschfelda.

Sebastyaną tknęło przecucie, iż tam musi się odbywać jakiś straszny dramat i że spotkany na schodach człowiek brał w nim udział.

Jednym skokiem dopadł drzwi. Nie były zamknięte i klucz tkwił na zewnątrz. Otworzył z gorączkowym pośpiechem drzwi i wszedł. Pierwszy pokój był pusty — na stole stała butelka koniaku i dwa kieliszki. Sebastyan zauważył to przechodząc.

W drugim pokoju na nędznym łóżku jakiś człowiek wił się w straszliwych boleściach.

Był to Harschfeld, lub raczej kelner z Akademii z wygoloną twarzą i ostrzyżonymi krótko włosami. Na podłodze leżała ruda peruka i takaż broda.

Zobaczywszy wchodzącego Sebastyaną, nie zdziwił się wcale, lecz wyciągnął doń błagalnie ramiona, patrząc zrozpaczoną wzrokiem, w którym można było wyczytać bojaźń śmierci.

— Ratunku! — jęknął. — Ratunku! Lekarza! Niech pan sprowadzi lekarza!

Twarz wykrzywiła mu się kurczowo i drapiąc rękami piersi, dodał:

— O! moje serce... moje serce... jak ja cierpię straszliwie, mój Boże, jak ja cierpię!

Teraz twarz jego przybrała kolor ziemisty, oczy zamknęły się i wyprostowawszy się nagle — opadł ciężko na plecy z przeraźliwym okrzykiem.

Sebastyan sądził, że umarł.

Ale po chwili atak minął — policzki zabarwiły się. Chory otworzył oczy i spojrzał na Sebastyaną błagalnie.

— Ach! — zawołał bolesnym głosem, jakby przeczuwając co się dzieje w duszy Sebastyaną, — pan nie pozwoli mi tu zginąć jak psu! Panu za nadto zależy na tem, żebym żył...

Na twarzy detektywa odmalowało się zdziwienie, doskonale odegrane.

— O! znam pana dobrze panie Sebastyanie Blanc. Niech pan nie udaje. Wiedziałem o pana przyjeździe dawno — przejąłem depeszę — zresztą pan wie o tem, był pan w moim pokoju.

Sebastyan zaprzeczył ruchem.